



Maria Nykowska

część II z II

Sygnatura notacji: **N1382**
Data urodzenia: **25.02.1930 r**
Data nagrania: **29.08.2019 r**
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 53 min, część II: 48 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Nykowska: Potem mieszkaliśmy już u babci. Czterdziesty trzeci rok do maja, ale gdzieś tak chyba w kwietniu. Dobijają się więc kobiety, tata mój od razu uciekł na strych, bo oni głównie z mężczyznami się rozprawiali, wujkowie już nie żyli. Wiec zostały tylko kobiety z dziećmi i młodzież, to znaczy Andrzej Necel i ta moja siostra. Mówimy, że: „Nie otworzymy, boimy się, że tutaj było... dwa miesiące temu zginęli wujkowie”. „My chcemy, prosimy o jedzenie”. To mama mówi: „To ja wam przez akoszko podam”, bo oni się przedstawiali jako z lasu ludzie. Czyli można było przypuszczać, że jako partyzanci. „Nie, my chcemy koło stołu usiąść. To otwórz drzwi”. „No nie wiem”. I moja mama mówi: „To podam wam przez akoszko”, okno. Otworzyła lufcik, a on stoi z karabinem, tam dwóch było ich pod tym oknem i mama zaczęła niesamowicie wrzeszczeć. Krzyczeć tak, że ja usłyszeli, bo już wtedy zaczęły być takie warty ustawiane, były na polskich wsiach, żeby w razie jakichś najazdów, żeby samoobronę organizować. W Zastawiu były wsie polskie. To mamę słyszeli gdzieś tam aż ponad cztery kilometry w tej wsi odległej ten krzyk. I oni się przestraszyli i odeszli od domu, od tego okna. Przecież mógł serię postać i mama mogła zginąć, ale nie zrobili tego. Już myśmy od tego dnia nie nocowali w domu. Wędrowaliśmy, w ciągu dnia trzeba było zadbać o krowy, konie, gospodarstwo, a na noc chodziliśmy nocować do Zastawia, do sąsiadów tych najbliższych. Przed spalaniem tego Ludwipola. Przychodził sąsiad Bondarczuk, który pracował w gminie i on mówił: „Nie będzie tu dobrze. Jeżeli tylko możecie, to wyjeżdżajcie. Wyjeździe stąd, bo będzie coraz gorzej”. I myśmy się zorganizowali, to znaczy załadowali furmankę, babcię i nasza rodzina, a ciocia Halina, która już była wdową, bo zginął wujek, to zapisała się na roboty do Niemiec, bo jeszcze z tamtych terenów też werbowano pracowników na wywózkę do Niemiec, do roboty. Moja siostra, ta która w Krzemieńcu się uczyła, też była do tego wyznaczona. To znaczy, że podlegała już tej wywózce, bo miała już te lata. Chyba od szesnastego roku życia werbowali, a ja jeszcze wtedy miałam trzynaście lat,

to jeszcze nie podlegałam. Ale też mogłam być wzięta, bo byłam wyrośnięta. Niektórzy wyjeżdżający do Niemiec tymi transportami jak przekroczyli granicę na Bugu, czyli wjechali do Generalnego Gubernatorstwa, to wielu osobą udało się uciec z tego transportu. Wysiść i nie wrócić do pociągu. W ten sposób znaleźli się w Generalnym Gubernatorstwie. Tak zrobiła pani Neclowa ze swoimi dziećmi, to znaczy młodzieżą, bo to już nie dzieci były. Z Andrzejem i Basią wysiedli i odnaleźli w Generalnym Gubernatorstwie przytulisko u swojego szwagra Necla, który był w leśniczówce, gdzieś na podkarpaciu. I tak przeżyli już wojnę. Natomiast ta ciocia moja, wdowa z dwójką dzieci dostała się na transport do Niemiec, do którego dołączono z tej wschodniej Ukrainy robotników. Te ze wschodniej Ukrainy były bardziej strzeżone, te pociągi. Ona po prostu z tą dwójką dzieci przy takiej obstawie mocniejszej nie była w stanie uciec. Zajechała aż do Langenzalza i tam pracowała w fabryce mebli. A te dziewczynki tam jakoś przeżyły tę wojnę jeszcze. Wróciły potem po wojnie tutaj do Polski. Nie wiem, w jaki sposób rodzice nawiązali kontakt z wujkiem, bratem mojej mamy, który mieszkał w Radzynie Podlaskim w czasie okupacji. Był uciekinierem z Warszawy. Dotarł do Radzyna, ponieważ tam jego teściowie mieszkali. Wojnę wujek przeżył. Wujek też ma bardzo ciekawą historię, przygody właśnie w trzydziestym dziewiątym roku, ale to już do innej opowieści. No więc po nawiązaniu kontaktu z wujkiem Łukomskim, wujek załatwił nam zaproszenie, że zapewni nam przytulisko u siebie, żeby tylko dostać zgodę na przejazd z zachodniej Ukrainy, która już była pod okupacją niemiecką jeszcze wtedy, a Generalnym Gubernatorstwem. Na zgodę na przejazd czekaliśmy w Kostopolu. Przyjechaliśmy do Kostopola furmanką z gospodarstwa babci. Jechaliśmy pamiętam, każdy przechodzień jaki nas spotykał na drodze to cierpła nam skóra, bo to mógł być taki człowiek, który zawiadomi, już wtedy były głośne napady na Polaków i mordowanie. Pod strachem ogromnym dojeżdżaliśmy do tego Kostopola. W Kostopolu zatrzymaliśmy się w jakimś żydowskim domu, bo to już był czas po likwidacji Żydów. W takim opuszczonym, strasznie zanieczyszczonym domu musieliśmy nocować parę dni, bo trudno było się pomieścić z rodziną gdzieś u kogoś, bo tych uciekinierów w Kostopolu było już bardzo dużo. Poprzez kontakt wujka Hieronima Łukomskiego z rodziną Łukomskich, którzy też w Kostopolu mieszkali, bo to byli dalsi krewni mojej mamy, to udało się nam skontaktować i to zaproszenie od wujka otrzymać z zapewnieniem, że tata mój i siostra Stasia będą zatrudnieni w jakichś zakładach w Radzynie. Oficjalnie przejechaliśmy pociągiem z Kostopola poprzez Lwów do Radzyna Podlaskiego. W Radzynie wylądowaliśmy 23 lipca, czterdziestego trzeciego roku. Stacha dostała pracę takiego gońca u Kreislandwirta, czyli to jest komisji takiej jakiegoś powiatowego urzędu, młoda dziewczyna. A mój tata to jakimś stróżem nocnym w spółdzielni jakiejś tam rolniczej, w której wujek pracował jako księgowy czy ktoś tam. We wrześniu trzeba podjąć decyzję, do jakiej szkoły pójść. Za czasów okupacji niemieckiej nie było szkół ogólnokształcących, wobec tego trzeba było zdecydować, jaką szkołę wybiorę. Poszłam do szkoły krawieckiej, bo była zorganizowana taka. Wobec tego jeden rok uczyłam się w szkole krawieckiej, a moja siostra młodsza to jeszcze była w szkole podstawowej, to kończyła szkołę podstawową. Brat najmłodszy to był w ogóle, a starsza siostra to już pracowała jako taka pomoc, sekretarka. Z rady miejskiej dostaliśmy zgodę na zamieszkanie też w żydowskim domku, który był takim wychodkiem publicznym w Radzynie, bo to niedaleko targowiska. Więc mama z siostrą uporządkowały ten dom i z tatą jakoś tam odmalowały, zainstalowało się jakieś drzwi czy szyby, bo to wszystko było pozbawione już. Zamieszkaliśmy w tym domku takim jednoizbowym. I od jesieni nawet tata dostał tam z parafii takie wsparcie, że może uczestniczyć, pomagać organście w pracach w czasie wielu mszy, bo to była duża parafia, ogromna w Radzynie, więc tam odprawiały się cztery msze w niedzielę. Więc tata na dwóch grał, tamten organista na dwóch. Potem się okazało jeszcze, że ten organista potem poszedł, był zwerbowany do wojska, więc tata przejął już jego obowiązki w całości. Chociaż za pół tylko, połowę opłat. Więc zaliczyłam ten rok szkolny jako przyszła

krawcowa. Chociaż tam specjalnie nie bardzo rozumiałam jeszcze wtedy, jak to się wszystko będzie układać. I przychodzi lato czterdzieści cztery. Mamy wieści z Wołynia, że tam jest tragicznie. W domu, w którym zamieszkało dużo uciekinierów z sąsiednich miejscowości, Polaków, w domu babci zamordowano dwadzieścia dwie osoby. Po naszym wyjeździe tam spora grupa Polaków się utrzymywała, bo to było takie zasobne gospodarstwo. Latem czterdzieści cztery jak front się zbliża, panika taka... Jak plotka w Radzynie została rozgłoszona, że Niemcy wycofując się, przy wycofywaniu się mają te oddziały ukraińskie, które mordują i źle się rozprawiają z Polakami, bo chcą zostawić taką spaloną ziemię natarciom sowieckim. My po tych wszystkich przeżyciach jakie przeżyliśmy w czasie tam na Wołyniu, byliśmy przerażeni. Wobec tego wieczorem dwudziestego trzeciego, dwudziestego drugiego, jak Lublin już został zajęty, panika z miasta, dużo ludzi wyjeżdżało na wieś, żeby gdzieś być dalej od tych głównych szlaków, którymi przemieszczały się te wojska. My nocowaliśmy w stodole takiej w gospodarstwie rolnym, które w Radzynie należało do Sabów. Węgierskiego pochodzenia chyba byli ci gospodarze. Myśmy przenocowali tę noc jeszcze tam. Ale jak słyszeliśmy jeszcze dwudziestego trzeciego rano strzelaninę, tośmy jeszcze uciekli do takiego lasu w pobliżu, w kierunku Brzostówca koło Radzyna. Potem słyszeliśmy, że czołgi przejechały, że już jest spokój. Strzelaniny żadnej nie ma, wobec tego można już wracać do miasta, do domu. W drodze powrotnej jak dochodziliśmy do Radzyna oczywiście pieszo właśnie w pobliżu tej stodoły, w której nocowaliśmy pociski zaczynają padać, strzelanina. Jakieś dwa czołgi, które zagubiły się wcześniej, niemieckie, uciekały bocznymi drogami, żeby przedrzeć się do swoich, do terenów jeszcze do Niemiec należących. Przyjechały i pojechały. Natomiast Sowietci strzelali do tych czołgów uciekających, przez całe dwie godziny bili bez pamięci, jak popadnie. Tak się złożyło, że nas padające pociski zastały przy drodze brzostówieckiej. Ja po jednej stronie skryłam się za taką szopą, tata z babcią i siostrą młodszą i jeszcze tam pięć osób było po drugiej stronie drogi. A moja siostra z bratem i mamą byli pod tą stodołą tych Sabów. Tak się złożyło, że najpierw pocisk uderzył w słup taki telefoniczny i w jakieś drzewo i przez te odłamki tego pocisku i te drzazgi ze słupa poraniły mi twarz, oko i rękę. Miałam rękę poszarpaną lewą i dużo obrażeń na nogach jeszcze. W oku miałam drzazgę taką wystającą jeszcze. Więc wstałam i strzelanina jest, tata się podnosi i przerażony patrzy na mnie, babcia też, siostra. Przebiegłam koło nich i oczywiście jak dziecko, to gdzie biec, do mamy. Biegłam tam aż do tej stodoły. Ledwie tam dobiegłam, to pocisk wpada, rozrywa się w pobliżu tej grupki osób, w gronie których był tata i siostra. Więc to mama mówi: „Och i taty nie ma już”. I za chwilę wszystkie osoby, które tam były, a było chyba cztery czy pięć i tata, to zginęły, a tata podniósł się, miał tylko zadrapaną brodę taką skaleczoną. Więc też przybiegł tam do nas i tak zginęła moja babcia i siostra. Siostra moja natychmiast zerwała z siebie jakąś halkę czy coś, porwała na kawałki i żeby mi zatamować krew, zabezpieczyła mi ten upływ tej krwi. Ten kofek to sobie sama, tę drzazgę wyjęłam. Tu też rozerwany policzek. Nie można było zorganizować żadnego transportu. To uciхло, ta strzelanina dopiero po dwóch godzinach jeszcze. To potem nikt nie chciał dać furmanki, żeby zawieźć mnie do szpitala. W ogóle drogi były nieprzejezdne, bo słupy wszystkie były pozwalane. Mnóstwo tych żołdatów, którzy poginęli jeszcze przed południem i po południu, też jeszcze niepozbiwane. Rozwaliska wszędzie, więc dotrzeć do szpitala nie było możliwe. To tylko tata załatwił zgodę gospodarza jakiegoś na wypożyczenie furmanki, gospodarz powiedział: „Ja nie pojedę, ja panu ufam, daję panu konia i furmankę niech pan wiezie córkę, a odstawi mi pan wóz, kiedy będzie pan mógł”. Więc dojechałam do ulicy Międzyrzeckiej, wyszła ciocia Irena Łukomska, zobaczyła mnie, przerażona. Wpadłam w jej objęcia i wtedy zemdlalam już, bo byłam już bardzo wycieńczona. Po drodze jeszcze jak tata mnie wioził, to na drodze jeszcze jakiś żołdat sanitariusz załatwił mi taki prowizoryczny opatrunek. Wziął tę rękę na takie łupki i zabandażował, to przynajmniej się to nie machało, nie bolało tak. To pamiętam jego niebieskie oczy, takie miał. Był tak roz-

trzęsiony, bo taki był... Bardzo miłą twarz miał, musiał być student medycyny czy jakiś tam bardzo młody człowiek. Ja z takim prowizorycznym opatrunkiem dotrwałam do rana następnego dnia, bo już tam u cioci Łukomskiej. Rano, a tata wrócił, żeby te konie odstawić gospodarzowi, zwrócić i furmankę. Więc w nocy już zaczęłam trochę bredzić, już gorączka mnie się łapała, bo to już to może jakieś zakażenie czy coś, nie wiem tego. Rano to chłopcy od Prejznerów taka kamienica jest w Radzynie, to byli uciekinierzy z Warszawy. Zorganizować nosze czy coś, to nie było tego. Oni wiedzieli jak. Zdjęli drzwi, położyli mnie na drzwiach i zanieśli mnie łąkami do szpitala dlatego, że normalnie drogą to by była dłuższa droga. Poza tym bardzo dużo przeszkód było, więc łąkami doniesiono mnie do szpitala wczesnym rankiem. Nie było chirurga, tylko lekarz taki zwykły, chyba tylko ginekolog robił mi pierwszą operację wśród tych rannych, bo potem zaczęli już tych żołdatów zwozić i innych. Ja jeszcze dostałam, miałam te narzędzia czyste, zastrzyk jeszcze jakiś dostałam. Tak że byłam obsłużona w szpitalu całkiem porządnie, bo potem już nie mieli opatrunków, nie mieli już niczego, bo tyle rannych jeszcze zwieziono. Przeżyłam do wieczora, a w nocy bombardowanie się zaczęło znowu. Bombardowanie, Niemcy przez trzy noce jeszcze bombardowali Radzyń. Tylko po to, żeby nękać i właściwie nie wiem po co, bo co tam było do bombardowania. Było kilka bomb skierowanych na szpital, ale jedna spadła do spiżarni, druga obok szpitala i trzecia gdzieś tam w ogrodzie. Następnego dnia to już zabrano mnie na wieś, bo szpital był zupełnie niezorganizowany. Trochę zburzony, bo od tego to wszystkie szyby powypadały, wszystko. Moja mama, która ze mną była, to opiekowała się, obsługiwała jako personel pomocniczy i tych żołdatów i innych rannych, bo nie było obsługi, bo wszyscy puciekali. Pierwsze dni, w których dochodziłam do siebie, to spędziłam w Niewęgłoszu we wsi koło Radzyna. Do końca życia będę wspominać taką panią Irenkę Pachatównę, która mi przyniosła rosółek wiejski i nakarmiła mnie, i ten rosółek do końca życia będę pamiętać. A zamieszkaliśmy u gospodarza takiego, który wybudował sobie dom nowy, a taka jedna izba przy chlewie, która była starym domem, to właśnie odstąpił nam tę izbę przy chlewie. To wiadomo, przy chlewie to jest mnóstwo much, a żer dla tych much miałam obfity, bo miałam te wszystkie skaleczenia, to mi pod bandażę wchodziły te muchy, więc trzeba było, żeby ktoś siedział i te muchy opędzał jeszcze. Ale i muchom się nie dałam i jakoś przeżyłam. Na pierwszy opatrunek zawieziono mnie do lekarza, który już przyjmował na wsi gdzieś tam w majątku wrzosowym, we Wrzosowie. Potem już nie było ani psychoterapii, ani jakiegóż rehabilitacji, niczego. We wrześniu już zaczęli organizować szkołę i Marysia już poszła do szkoły w połowie września. Oczywiście już o krawieckiej nie było mowy. Zresztą krawiecka już zupełnie upadła. Po wojnie utworzono gimnazjum ogólnokształcące i utworzono handlową szkołę. Za czasów niemieckich też chyba handlówka była. I ja najpierw zaczęłam w tej handlówce dlatego, że wcześniej ją zorganizowano i skończyłam dwie klasy szkoły handlowej, gimnazjum. Potem jak zorganizowano gimnazjum ogólnokształcące, to, ponieważ wiedziałam, że nie chcę poprzestać tylko na gimnazjum, to uznałam, że lepiej będzie to. Zresztą rodzice tak uważali, żeby ogólnokształcącą szkołę skończyć. Więc przenieśli mnie z drugiej gimnazjalnej do czwartej gimnazjalnej ogólnokształcącej, ale musiałam nadrobić łacinę. Więc miałam obowiązek przygotować się z łaciny i egzamin zdać jesienią późną. Ta ciocia Irena to z wykształcenia matematyczka starej daty, znała łacinę, bo kiedyś w szkołach średnich łacinę uczono wszędzie. Wobec tego ja z ciocią Ireną zrobiłam kurs łaciny na tyle, że dałam sobie radę w tej czwartej klasie i skończyłam gimnazjum, mając na świadectwie już ocenę z łaciny też. Po ogólnokształcącym gimnazjum podjęłam w liceum o profilu matematycznym naukę. To się już zaczęły wtedy presje takie, czasy stalinowskie. Jeszcze w gimnazjum to myśmy chodzili w święta czwórkami do kościoła, cała szkoła z jakimś tam sztandarem czy namiastką sztandaru, ja już nie pamiętam szczegółów, ale wiem, że to zawsze było uroczyście. Natomiast już przestaliśmy chodzić czwórkami, ale myśmy przychodzili do kościoła na mszę szkolną, ustawialiśmy się w kościele w czwórki

i byliśmy zawsze na tej mszy. Mieliśmy takie swoje śpiewania i w ten sposób rozpoczęłam nowy etap, już w tej Rzeczypospolitej Ludowej. Potem się zaczęły naciski, że mamy się zapisać do jakiejś organizacji młodzieżowych. To w twoim przypadku to mówi, ty musisz się zapisać, bo inaczej nie dostaniesz się na studia. Złe pochodzenie, okaleczona dziewczyna i jeszcze krnąbrna, nie chce się zapisać do organizacji. Przyjechał taki, pan Michna, który później profesorem w SGGW był. U was? Nie u was, to u Kasi, bo Kasia na SGGW studiowała. To on przyjeżdżał i ponieważ się nie zapisałam do ZMP, tylko do OMTUR. Organizacja Młodzieżowa Uniwersytetów Robotniczych. To była PPS-owi podlegała. Wtedy jeszcze PPS istniał. A ZWM, Związek Walki Młodych należał do robotniczej, tej komunistycznej partii podlegał. Ja do OMTUR-u się zapisałam. Czyli do Organizacji Młodzieżowej Uniwersytetów Robotniczych. To już w klasie maturalnej byłam omturówką. Zakończyłam chwalebnie maturę, zdałam egzamin na tyle dobrze, bo dostałam nagrodę. Najlepsze oceny miałam. Z powiatowej rady dostałam, nie wiem, ile tam już było, 300 złotych czy ileś. W każdym razie starostą był chyba wtedy jeszcze inteligent, taki pan Bocheński, ale już się szykowało zmiany, bo musiał być taki, któremu można było ufać. Wobec tego był taki inny bardzo rzetelny człowiek. Jak ktokolwiek tam kiedyś mi wypominał, że ona nie pochodzi, pochodzi z niewłaściwego środowiska, bo pracuje przy kościele tata, bo ja to piętno przez cały PRL miałam na sobie. No więc to on mówi, że: „Nie dostała nagrodę za pochodzenie tylko dostała nagrodę za wyniki”. I tak oto jestem nawet pierwszą stypendystką. Nie stypendystką, tylko nagrodzoną przez radę miejską czy powiatową w Radzynie, ale już nie pamiętam, jak to było, bo to było siedemdziesiąt lat temu. Siedemdziesiąt pięć. W ten sposób trafiłam już po maturze na studia. Wybrałam się do Warszawy. Nie do Warszawy, tylko do Wrocławia. Co, ze mną po maturze to właśnie też był problem, dylemat, co robić. Więc wujek Jaszczyński wrócił z oflagu w czterdziestym szóstym roku czy piątym, już nie pamiętam. A ciocia Jaszczyńska w czterdziestym piątym czy szóstym wróciła z Kazachstanu. Oni się odnaleźli poprzez rodzinę wujka Jaszczyńskiego, bo on pochodził z okolic Opola Lubelskiego, z Wojcieszkowa, Wojciechowa. U nas w naszej tej kajutce pożydowskiej, w której mieszkaliśmy, to tam właśnie spotkali się po wojnie. Jaka to była radość. Tam dwie rodziny do nas przyjechały z Kazachstanu. Najpierw ciocia Jaszczyńska i wujek zabrał ją najpierw do swojej rodziny, tam zamieszkali, a potem od razu już się zorganizowali, wyjechali do Wrocławia i tam podjął pracę. Wujek Jaszczyński przez to, że był w oflagu, a oni mogli robić sobie, organizować różne kursy, doksztalać się. Mieli dużo swobód. On sobie zrobił architekturę, bo on był technikiem drogowym budowy dróg i mostów. A w czasie okupacji, będąc w obozie jenieckim, doksztalał się z architektury i po wojnie dokończył studia architektoniczne i został inżynierem, i odbudowywał Wrocław potem. W Miastoprojekcie pracował. Wujek właśnie przyjechał, bo moi rodzice mówią: „No nie wiemy, jak zorganizować dalej edukację Marysi”. Więc wujek mówi: „Jak to? Jak zorganizować? Przyjeżdża do nas i będzie z nami”. To proszę, jakie podejście kiedyś ludzie mieli. Myśmy... do Łukomskich w Radzynie przyjechało sześć osób. Sześć osób mieszkających dwa pokoje z kuchnią. Przyjechalibyśmy sześć osób do sześciu zamieszkałych, też do dwóch pokoi z kuchnią. To było w Anielówce koło Derażnego. We Wrocławiu wujek wtedy jeszcze mieszkał najpierw, a nie... już jak ja maturę zrobiłam. Najpierw mieli tylko pokój z kuchnią, a potem wujek miał już w nowym budownictwie, miał takie trzy pokoiki małe. Dwa i małe, taką służbówkę z kuchnią. Do tych dwóch małych z tą służbówką też jeszcze Marysię przyjęli. Rozpoczęłam studia we Wrocławiu na wydziale matematyki, fizyki, chemii. Wspólny wydział dla politechniki i uniwersytetu, bo wtedy jeszcze uniwersytet i politechnika były jedną uczelnią, ponieważ nie było personelu do nauczania. Brak było profesorów. Inteligencja polska była tak przetrzebiona w czasie wojny, że trzeba było szybko wykształcić dużo pracowników, którzy by mogli przejąć zadania na nowe czasy. I właśnie ja tam byłam u cioci, a później siostra moja już kończyła studia, bo ona po maturze skończyła szkołę pielęgniarstwa i chciała podjąć

pracę we Wrocławiu, żeby mną się opiekować, bo uważali, że ja sobie nie dam rady. A ja potem zamieszkałam z koleżanką, wynajmowałyśmy pokój u takiej staruszki, doskonale sobie zaczęłam radzić, bo musiałam powiedzieć: „Musisz poradzić!”. I miałam zawsze i fryzurę piękną i byłam zawsze zadbana. Teraz się przechwalam na stare lata, bo tak to byłam trochę zakompleksiona, ale do takiego człowieczeństwa i do pewności i wiary w siebie to ja zawdzięczam to mojemu mężowi. Bo to był, to jest wspaniały człowiek. To jak ja mówiłam, że takie normalne życie to już nie dla mnie, czyli jakieś małżeństwo, rodzina czy coś. To on mówi: „Bądź człowiekiem!”. No i byłam człowiekiem. I zostałam człowiekiem. A Irek był też ofiarą wojny. Jest, bo matkę stracił w bombardowaniu. Od sowieckich bomb. Ja jestem od sowieckich pocisków okaleczona. Uratowana i przyjęta na studia dzięki lwowskim profesorom. Mieliśmy znakomitych profesorów, światowej sławy. My jesteśmy studentami profesora Steinhaus, Knastera, Marczewskiego. I niechlubnego naszego dziekana, właściwie trudno przypisywać zasługi, to znaczy sposób bycia syna ojcu, bo to nie zawsze... Profesora Hartmana. Jan Hartman jest synem profesora Hartmana, który był naszym dziekanem we Wrocławiu. Hartman był bardzo solidnym matematykiem, ale skończył jako alkoholik. Nie wytrzymał widocznie tamtych czasów. Natomiast syn to teraz, to ja nie wiem, czy panom coś to mówi nazwisko. Ale my niczego złego o jego ojcu powiedzieć nie możemy. Byliśmy w czasach okrutnych, studia mieliśmy. Kilka szczegółów, bo w czasie tego ostrzału sowieckiego w Radzynie, czyli ginie babcia ze strony matki, czy ojca? Matki. Ze strony matki. I ginie siostra? Siostra moja młodszą, Alicja. Alicja, bo to imię padło na początku, tylko pani powiedziała, że nie będziemy przeskakiwać, to zaraz dojdziemy jeszcze. Natomiast czy Elżunia... Elżunia wróciła z Kazachstanu, tak. Bo pani mówiła o matce, ale o tej matce... Tak, wróciła z matką. Ona tam chodziła do przedszkola w dziedzadzie była. Jak ona mówi: „W dziedzadzie”. Jak przyjechała do Radzynie, dałam jej kredki i ona mówi tak, to ja coś tam z nią rysowałam. „Ja teraz potrzebuję tu światło brązową”. Światło, to znaczy jasnobrązową, bo ona tak słabo mówiła po polsku. Ale Elżunia, inżynier. Skończyła Politechnikę we Wrocławiu. Pracowała jako inżynier, jak to się nazywa od tych, sanitarny tak zwany. Od przewodów ciepłowniczych i innych tych. W ogóle Jaszczyńscy mieli jeszcze trójkę dzieci potem, po wojnie. I on pracował w Miastoprojekcie, bardzo aktywny zasłużony człowiek. Dożyli dziewięćdziesiątki albo i więcej. Wybudowali sobie dom i ich dzieci, córki wszystkie są po Politechnice, Lijka jest po szkole rolniczej wyższej, ale nie wiem. Ona później pracowała chyba gdzieś w szkole, bo jej... bardzo aktywni wszyscy. A po studiach jak się pani praca układała? A po studiach, praca bardzo dobrze. To znaczy nie było problemu, dlatego że matematyków było bardzo mało. Ja powiem jeszcze, jak było z przyjęciem. Było 110 miejsc dla nas we Wrocławiu, matematyków, na wydziale matematycznym. Ile się zgłosiło, to nie wiem, zdało tylko siedemdziesiąt osób. I siedemdziesiąt przyjęto. Nie było tak, że wypełniano limity, wypełnić limity za wszelką cenę, nie. Jak się nie nadawał ktoś, to nie było szans. I z tych siedemdziesięciu i tak tych siedemdziesięciu nie ukończyło, tylko czterdzieści kilka osób. Były dwie grupy tylko studenckie, ukończyliśmy pierwszy stopień studiów. To znaczy te trzyletnie. Natomiast kurs magisterski dopiero był organizowany, bo ja byłam w pierwszym roczniku, który w normalnym trybie studia odbywaliśmy po wojnie. To wszystkie nasze lata były organizowane dopiero na..., czyli byliśmy pionierami nowych programów. Po tych trzyletnich to najpierw wysłano do szkoły. Był nakaz pracy. Mój mąż dostał nakaz pracy do liceum, które skończył, do Trójki we Wrocławiu, na ulicy Stalina. Teraz to jest Trójka, a to wspaniali ludzie jeszcze organizowali te szkoły tam. We Wrocławiu to też profesor Zaremba, to była też ciekawa osoba. No i co jeszcze. Mąż dostał nakaz pracy do liceum, do Trójki, a ja przejęłam etat, bo moja koleżanka z którą mieszkaliśmy, zastępowała w szkole w liceum pedagogicznym na Glinianej we Wrocławiu profesora Bolesława Iwaszkiewicza, który został chyba radnym czy nawet przewodniczącym tej wrocławskiej Rady Narodowej. Więc on nie miał czasu na zajmowanie się nauczaniem, bo wszedł do tych

władz. To moja koleżanka go zastępowała. Ponieważ ona wyszła zaraz po studiach za mąż, bo poznała kolegę z Politechniki i wyjechali, we Wrocławiu zostali. Ale ona pracowała w szkole innej, a etat po Iwaszkiewiczu zwolnił się i mnie zaproponowano ten etat. Ja miałam to objąć, ale ledwie miesiąc pracowałam, tylko wrzesień. Już w październiku jak zaczęli organizować studia magisterskie i mój mąż wtedy jako kolega przyjechał i mówi: „Marysiu, mamy szansę dostać się do Warszawy na studia, bo organizują kurs magisterski. Wymagana średnia powyżej czterech. Mamy oboje taką średnią powyżej”. Czyli już mamy możliwość edukacji dalszej. No i przyjechaliliśmy w pięćdziesiątym drugim roku do Warszawy na studia i wybraliśmy sobie zastosowanie metod statystycznych w ekonomii, czyli wydział zastosowania matematyki w statystyce. Tak to brzmiało, specjalność. I skończyliśmy ten kierunek oboje. Dziewięcioro nas skończyło. Pierwsza grupa specjalistów z tej specjalności. To dziewięciu magistrów w Warszawie to było prawie nic, a Urząd Statystyczny czekał, uczelnie czekały. SGPiS tak zwany potrzebował też matematyków. I od razu zostaliśmy zwerbowani do SGPiS-u. I czterdzieści lat odpracowaliśmy w SGPiS-ie.